

Antoni Górski, *Tu byłm mój dom, tu był mój świat...*

Wspmnienia Wagala, Łomża 2023.

ŚWIĘCONE I ŚWIĘCONKI¹

W Wielki Piątek każdego roku w parafialnym kościele w Przytułach po wczesnej, rannej Mszy Świętej była święcona woda, tak niezbędna w każdym gospodarstwie, bo to i w kropielnicze zawieszanej na usaku drzwiowym winna być, bo i bydełko wyruszające wiosną po raz pierwszy na pole trzeba pokropić, a w dzień Wielkanocny po powrocie z kościoła całe obejście poświęcić, podobnie jak zasiek przed pierwszym złożeniem snopów z tegorocznych zbiorów. Przyda się zawdy, jako że i ten zły, ten otnianek, jej się boi.

Od nas najczęściej po tę wodę jeździł Staś. Siadał raniutko na ordakę, brał do kieszeni odpowiednie butelki – i wio do Przytuł. Jednego razu już pod Przytułami butelki wysunęły mu się z kieszeni, upadły i rozbiły, a że u znajomków w Przytułach ich nie dostał, gnał cwałem do chałupy, by się w nie zaopatrzyć, a potem z powrotem, by choć o końcówkę nabożeństwa zawadzić i wodę święconą otrzymać. Powrócił z wodą i choć za swoją nieuwagę dostał i *cierepe*, i *nierozgardjasa*, nie przejmował się tym zbytnio. Machnął na to ręką, utyskując tylko, że siedzenie ubiul do imentu i chyba będzie okrakiem chodzić.

– Ot i jeździec, ułan – podśmiewał się z niego Franuś. – Głupiej ordaki okracyc nie unie! Razem przejechał do piętnastu kilometrów i dupe nater! A jakbyś ty wyglądał, gdyby ci przysło kilkadziesiąt gonić?

– Głupiś – wycodził Stasisko. – Ile casu ucono cie jazdy konnej, zatracony ułanie? Rok, dwa?!

– Nie kłóćta sie, głupie – wtrąciła matka. – A ty, Stasiu, nalej tej świezej wody do kropielnicki, bo prawie wyschła.

Pieczę nad tym zwyczajowo trzymała najstarsza w domu niewiasta, a w naszym – matka. Brak wody w kropielnicze traktowano jako kardynalne niedbalstwo i wróżbę jakiegoś

¹ Publikujemy fragment wspomnień jako przypomnienie o mazowieckich tradycjach wielkanocnych i opublikowanej przez ŁTN książce, którą zaświadcza naszą łomżyńską tożsamość i przypomina o przejętym niematerialnym dziedzictwie kulturowym. Publikację tę można nabyć w siedzibie Towarzystwa i za pośrednictwem sprzedaży wysyłkowej, por. <http://ltn2.nazwa.pl/wp/produkt/rody-i-rodziny-mazowska-i-podlasia-zrodla-t-iv-cz-1-pamietnik-wagala/>

upadku w gospodarstwie, jakiegoś nieszczęścia. Może gradobicia, może pomoru wśród trzody czy drobiu albo i jakiegoś chróbstwa w rodzinie.

Kto wyruszał w dalszą drogę albo i załatwiać ważniejszą sprawę, maczał palce w święconej wodzie, głośno czyniąc znak Krzyża Świętego i wypowiadając słowa: „Ostańta z Bogiem”. Wychodził z otuchą, że mu się powiedzie, że po powrocie zostanie i w domu, i w gminie wszystko po staremu. Kto wychodził do spowiedzi, czynił to samo, dodając jeszcze „A wybacta moje przewinienia” – i też tuszył, że mu i dobry Bóg te przewinienia wybaczy...

Korzenie zwyczaju tkwią głęboko...

W przeddzień Matki Boskiej Zielnej (sierpień) lub raniutko w ten Jej dzień jak wieś długa i szeroka przygotowywano do poświęcenia wiązanek zbożowo-kwiatową. Żyto i pszenica w tym czasie bywało już w stodole. Po kłosa jarych zbóż trzeba było iść na pole.

Funkcję takiego zbieracza pełniłem przez kilka lat z rzędu. Udawałem się rad, bo to przecież jakby po dar dla Matki Bożej. I w stodole, i na polu wybierałem dorodne, grube kłosa zbóż, jeszcze nie w pełni rozwinięte kwiaty i aromatyczne zioła, oddając je potem w ręce matki, która je po swojemu układała w wiązanek, dodając niekiedy jakiś ogrodowy kwiat. Niekiedy otrzymałem miano paskudzielca, gdy kwiat miał za krótką łodyżkę albo był wyrwany z korzeniami.

Taki bukiet niosły do kościoła zazwyczaj kobiety, starając się, by w czasie święcenia został jak najobficiej pokropiony, by po powrocie już w chacie znaleźć się pod którymś z obrazów lub zwisać z tramu.

Nie leżał taki bukiet długo. Jesienią, przy pierwszym siewie ozimin, ojciec brał święcone kłosa na pole, wykruszał je, mieszał z siewnym ziarnem, sypał do siewki, a po przeżegnaniu pola Krzyżem Świętym rozpoczynał siew, jak każdy, ruchem powolnym, równym, dostojnym.

Ileż to lat z rzędu towarzyszyłem Mu w tym siewie jako bronowłok? Mój Boże, ileż radości odczuwałem, gdy w kilka dni później stwierdziłem, że się już kli, że zielone źdźbła wyrastają. Widać dobrze się otarły o te święcone ziarenka i tak ładnie wschodzi zboże, widać Bóg pobłogosławił.

Ten swoisty gest nie gest, może odruch, może podświadome powiązanie codziennych trosk i nadziei z pojęciem Stwórcy, przestrzegany był i przy siewie zbóż jarych wiosną.

Po tych zasiewach reszta równianki była palona w piecu, bo jakżeż ją na śmietnik wyrzucić, gdy była święcona?

Kropidełkiem maczanym w wodzie święconej kropiono konie, gdy po raz pierwszy danej wiosny szły do wiosennej orki, trzódkę bydła i owiec, gdy wyruszała na wiosenne pastwisko, a staruchy nawet i gąsięta kropiły cośkolwiek przy pierwszym wysadzeniu na słoneczne podwórko, by podszycie puchowe gęsie było obfitsze, gęstsze. A chłop gospodarz nie rzucił pierwszego snopka do zasieka, nim go nie skropił świeconą wodą.

W ostatnie dwa dni przed Wielkanocą po południu ksiądz proboszcz przyjeżdżał do wsi, by poświęcić święconki i pobrać zebrany wykup. Ówczesna święconka to duży kawał wieprzowiny w misie na dnie, na poboczach misy pęto kielbasy, a w środku czubato ułożone jaja, przybrane borówkami. Były i skromniejsze święconki, tylko z jaj złożone.

Gospodynie przynosiły święconki do jednej, zwyczajowo przyjętej chaty. Przynosiły także pewną ilość jaj jako dar wielkanocny dla księdza, tak zwany wykup, składany do jednego wspólnego kosza. Złośliwcy twierdzili, że tera to i proboszcz stęzał w jajach.

W pierwszy dzień Wielkiej Nocy jechało się raniutko na nabożeństwo kościelne i mimo długiego jego trwania wracało się wcześniej na spóźnione śniadanie.

Kiedy fura stanęła przed gankiem, ojciec, zsiadając, oddawał lejce jednemu z synów, szedł do kuchni, brał do jednej ręki talerz ze święconą wodą, a do drugiej kropidło, by po przeżegnaniu się rozpocząć obrządek święcenia. Kliku machnięciami kropił kuchnię, alkierz, sień i wychodził na zewnątrz, a ja z odkrytą głową, ale z jego i swoją czapką w rękę podążałem za nim w roli asystenta czy ministranta, choć bez komeżki.

Dlaczego trzeba było mieć te czapki przy sobie i nieść je, nie wiem. Zwyczaj tak nakazywał i jakieś uzasadnienie było. Czy przypadkiem nie było to symbolem odkrytej po Zmartwychwstaniu głowy Chrystusa?

Dziewczynka nie mogła asystować przy tym święceniu. Gdzie to babie do tego się mieszać, jak się chałupę i gumno święci, Boskiej opiece poleca? Toć to chłopska, a nie babia rzecz!...

Kroczyłem za ojcem dumny, okrążając wokoło najpierw chałupę, potem gumno od środka, a na zewnątrz tylko w wypadku bezdeszczowej pogody. Ojciec z podniosłą miną w wielkim skupieniu święcił swe zabudowania. Gdy spoza drzwiczek chlewów wyzierał łeb koński lub bydłęcy, machał kropidłem i w ich kierunku.

Po skończeniu święcenia, wracając, przystawał na ganku, spoglądał na gumna, coś szeptał, bo jego wargi się poruszały, brał czapkę, a kropidło i talerz oddawał mnie.

I znów pytanie: dlaczego wkładał czapkę na głowę, choć był już pod dachem? Czyżby symbol odpowiedzialności głowy rodziny za resztę głów?

Jednego razu, gdy byliśmy już na ganku, ojciec powiedział – Zabaculem – i poszedł, a ja za nim, by poświęcić zrab studni, a gdy wracaliśmy, westchnął: – Boże, nie karaj! A jednak pokarał. Tego roku lato było tak suche, że wody w studni zabrakło i struga uzupełniała zaistniałe braki.

Tym razem towarzyszył nam wierny Burek i prosiłem ojca, by i jego poświęcił. Nie uczynił tego, a podał mi kropidło ze słowami: – Sam to zrób. Machnąłem kropidłem, a on czmychnął, ale wrócił zaraz, a gdy podsunąłem mu wilgotny talerz, wysunął język i polizał go, a potem, opierając się łapami na mych piersiach, i mą gębę. Ojciec stał obok, pełen pogody, z ciepłym uśmiechem i tak mi bliski, bliski – mój...

Wróciliśmy do kuchni. Na ławie dymiły miski napełnione ziemniakami z czarnym barszczem, a obok stała święconka.

Dzieleni się jajem, po połowie z każdym, było rodzinnym obowiązkiem. Życzenia były ogólne, nie osobiste. Składali je rodzice sobie i swej dzieciarni, kończąc słowami: „A wybacma sobie winy, bo Chrystus wstał z martwych”.

W drugi dzień Wielkanocy zawsze biegłem do ciotki Augustynkowej po wykup. Jej syn Aleksander, a mój chrzestny ojciec wychodził wtedy do komórki po jaja i wręczał mi je (kilka par) ze słowami: „Na mas, tyloj nie pobij, włoz do kieseni świtki, a nie portek”. A częstując obranym ze skorupki jajem, dodawał: „To święcone, uważaj, cobyś i okruszyny nie zmarnował”.

Jednego roku, wracając z wykupem, wywróciłem się w błocie. Jaja były w kieszeni spodni, pobiły się i maź zaczęła spływać mi po goleniskach. Wróciłem do domu zrozpaczony, splakany, a matka po słowach „A co co, cegój becys?” i zorientowaniu się w mej tragedii, oświadczyła: – Zdejmuj portki, wymyj golenie, a jutro ci dam tyle jajek, ileś pobiuł. – Mimo to naburmuszony wykrztusiłem: – Nie chce, to nie wykupne.

– To ode mnie wykupu nie weźnies? – padło pytanie. I wtedy rzuciłem się w objęcia matki, która na chwilę odpychając mnie od siebie, oświadczyła: – Golenie mas mokre, jazda do mycia. – No i musiałem się wymyć.

po wykupne jaja chodzili też i starsi, w zespołach kilku podroślaków lub kawalerów. Zespół taki posiadał niekiedy harmonię i bęben. Niekiedy wędrował od chałupy do chałupy od wieczornych godzin wielkanocnych po wtorkowy ranek.

Jednego z tych świąt, leżąc już w swym szlabaniku, broniłem się przed snem, by usłyszeć nadejście i śpiew wykupników. Zasypiałem już, gdy nagle za oknem rozległo się tłuczenie w bęben, mignęły postacie, a potem zabrzmiało rytualne pytanie: „Pozwolicie państwo ten dworek rozweselić, boskim słowem pocieszyć?”.

Zaległa cisza, nikt w chałupie nie odpowiedział i zagrzmiały basy harmonii, potężnie, wrzaskliwie i znów nastąpiła cisza, i znów padło pytanie o przyzwolenie.

Widocznie przedtem ojciec spał, bo dopiero po drugim wezwaniu odpowiedział: – A becta, becta, tyloj pięknie. – I rozległa się pieśń o Zmartwychwstaniu. owtarzane Alleluja przetykały basy, dzwoneczki bębna i stukot w jego skórę. Pieśń gardłowa, nieskoordynowana, ale Boża, wielkanocna w odczuciu słuchaczy i zapewne samych kolędników. Z alkierza wyszła Jadzia w koszuli nocnej, matka przepędziła ją z miejsca: – A ty cegoj, bezwstydnico! – i biedaczka cofnęła się, słuchając pieśni przez uchylone drzwi.

Po skończonym śpiewie ojciec podał przez otwarte okno przygotowany koszyczek z jajami, ale po „Bóg zapłać” i „Ostańta z Bogiem” nie odeszli, jeszcze zdobyli się na świecką piosenkę „U jeziorecka, u bystrej wody”, bo widać zawartość koszyczka nie była mizerotą. Wykonanie tej pieśni było lepsze, pełne swoistego uroku, jak i jej słowa.

Nie przyjąć wykupnika to wstyd dla szanującego się gospodarza, nie zachować się wykupnikowi godnie – to hańba, choć różnie z tym bywało, zależnie od składu zespołu i jego stosunku do odwiedzanej rodziny. Padały częstokroć i sprośne docinki.

Zapamiętałem tylko dwie przyśpiewki:

*Chrystus z grobu wstaje,
dawaj abo jaje,
a ty chłopie kielbase,
bo cie z łozka wystrase.*

I druga:

*Wylaż spod pierzyny, no wylaż z jajami,
to ładną piosenkę za to zaśpiewamy.*

Śmigus-dyngus był powszechny. Kropili się. oblewali wodą dzieci, podroślaki i młodzież, i to nieraz całymi wiadrami. Ale sucha, nie zmoczona dziewczyna – to bez wątpienia ciamajda, a niezmochny chłopak to już z kretelem ostatni bęcwał i ćwok.

Jajo i woda – znak życia i zmartwychwstania, to jak tego po bożemu nie uszanować. I szanowano na swój sposób.

Dodać wypada, że przed Wielkanocą kawalerka sporządzała na skrawku upatrzonego podwórka w środku wsi tak zwane wozidło (huśtawkę). Na potężnych słupach, głęboko wkopanych w ziemię, osadzano poprzeczny, równie mocny drąg. a u niego dwie drewniane hołoble (uchwyty) na łańcuchach. U podnóża ich była deska, na której stawało się i powoli, po odpowiednim rozruchu, było huśtanie, że hej!

Stało ono aż do Zielonych Świątek, po których rozbierano je, by czekało cały roczek na ponowne zmontowanie.

Młodzież, najczęściej parami, wozila się, poczynając od drugiego dnia Wielkanocy, potem w niedzielę i święta, a bębny i podroślaki i w dni robocze, boć taki to jeszcze stałego zajęcia nie miał i prędzej mógł się dorwać.

Trzeba było uważać, by nie stanąć nieopatrznie, nie dostać taką rozhuśtaną deską w łepetynę, bo i kaleką można było łatwo zostać.

Bębny uważali na deskę, a kawalerzaki na co innego, zwłaszcza gdy dwie dziewczuchy zaczęły się huśtać wysoko, wysoko, a fruujące kiecki rozkładały się szerokim wachlarzem...

Ale co z tego... Co obacys ździebko gołych goleni – i tyle tegoj. Za długie te ścierwa kiecki były, straszliwie za długie. Cóż, święcone – nie święcone, ale ciekawe, żywe...

(...)

Na Święta Wielkanocne pojechałem do Wag. Cisza, spokój i niedostatek panowały tu niepodzielnie. I starzy, i dzieciarnia witali mnie serdecznie. Na wielkanocnym śniadaniu poza jajkiem, kapustą z ziemniakami i kawałkiem wieprzowiny nie było nic. Tradycyjne, lecz postne pierogi uzupełniały późniejsze pożywienie.

Cóż, chlewy i obory w trzech czwartych stały puste. Nie było już w nich około trzydziestu sztuk bydła, kilkudziesięciu sztuk nierogacizny, czwórki dorosłych koni roboczych i co najmniej dwóch źrebaków, a tylko dwie kury, dwoje cieląt, kilka plewniaków i maciorka z trzódką prosiąt oraz dwie spracowane ordaki. Franusiowie mieli już chałupę jako tako ogaconą, a większość wagali, między innymi Staś, gromadzili drewno na budowę domu. Pewnie, niezadaszony spichrz, resztki podmurówki z rozebranej stodoły jeszcze szpecily rząd zabudowań, ale dach nad głową, swój dach w swojej chacie, darzył ciepłem i nadzieją.

Poszliśmy z Franusiem na pola. Szmat ozimin obsianych nieomal w normalnej ilości pól witał z daleka zielenią.

– A pamiętasz – mówił po drodze Franuś – jak tą dróżką ganiałeś przed wygnaniem świniaki? A pomnis ten wądoł dla koni, swoją orkę, naszą siejbę i jek nas potem śwaby do Chrostowa zajęli? Toć, żeby nie to ryzyko, nie te starania, to i to zytko, i ta psenicka nie zieleniłyby się tera, a jeśli, to na pewno tyloj na małym skrawecku. A żebyś nie ściągał wcześniej zboża na Przebudówkę, to z cegoj by było tam żyć i tu zasiać? Oj, Antoś, Antoś, co doznalim, to wiemy, a co nas ceka, nie wieda, nie wieda.

– Cóż – podjąłem. – Wspieraliśmy się wzajem i ta wspólnota nas uratowała. A cóż byłoby ze mną, gdyby tak twoja baba ze strachu wyznała gestapowcom, gdzie nocuję? Jeśli tak przypominasz, to przypomnij sobie i to, że na mój bilet do Warszawy dałeś z pożyczki zaciągniętej w banku, bo ani grosza nie miałeś w domu.

– Toć je zwróciłeś, i z okładem, i to prędko, to i nie ma o cem gadać.

– Może i tak, ale pewnych momentów z naszych przeżyć z czasów okupacyjnych nie da się zapomnieć.

– Ano nie, one nas zbliżyli, Antoś, połączyli. I dzięki Najwyższemu Bogu przeżyli.

Mówiąc to, chłopisko uściśnął mnie, ucałował i zakończył wspomnienia słowami:

– Dziękuję ci za wszystko, choć gadałeś, że to dla moich dzieci robis.

Odwzajemniłem się uściskiem i pocałunkiem i podziękowałem za wspólną dolę i niedolę nieodległej jeszcze przeszłości.

Kiedy siedliśmy na przydrożnym bruczku, by wspólnie popalić jakiegoś niewybrednego sporciaka, zapytałem:

– A co tu u nas, w naszym kącie?

– Ciekawie, ale niebezpiecznie i trwożnie – odparł. – Ciekawie, bo tu musuje jek twój żytni zacier do pędzenia wódki – określił. – Nowa władza nowe wprowadza i po nowemu rządzi. Mamy w Wagach szkołę, ale krzyża w niej nie ma, a tyloj portrety komunistycznych przywódców. W kościele jeszcze śpiewa się „Boże, coś Polskę” i kończy się „Ojczyznę wolną racz przywrócić, Panie”. O nowej wojnie gada się dalej i o rozkułaczeniu tozes. Nieraz trudno rozeznąć się, z kim gadas i jek mas gadać, żeby po łbie nie oberwać abo do ciupy się nie dostać. Jeden i drugi gada po polsku, ale ktoren naprawdę jest Polakiem, nie rozeznas. Szczęście twoje, żeś wyjechał, odciął się od tego piekła. Tera tu nie wolna Polska, ale jej hańba, tak widoczna w starciach z bronią w ręku i zamykaniu niewinnych ludzi w więzieniach. Zapolaki narzekają na wysokie kontyngenty zbożowe i mięsne. Nas, wygnańców z Nadrzecza, w tym roku zwolniono z tego, ale ponoć w przyszłym roku mamy w pełni zdawać. A z czego, nikt nie pyta. Ponoć za te dostawy płacą tyle, że gdyby furmankę wynająć,

to nie pokryłoby tego kosztu. Cielę niby na swoim siedzi, a cuje się gorzej, jek wróbel na deku. Kułak to dzisiaj wróg. Obieżyświat i nierób ma uznanie i pełni funkcje urzędowe. Do tego podobne! – wykrztusił, spluwając z obrzydzeniem, by po chwili dodać: – Dumam, że jek rozkułacą, skołchozują, to chyba znajdziesz tam gdzieś u siebie jakiś ką, bo tu niepodobno ostać i patrzeć, jek się nad tobą byle siurk pastwi, byle cebał stąpa po naszej pradziadowskiej roli.

Trudno mi było przyjść do słowa, bo w pełni odczułem grozę położenia i stan psychiczny brata.

– Może nie będzie aż tak źle. Może ktoś tam w górze nieco otrzeźwieje, może nie dopuści do pełnej sowietyzacji naszego życia – zacząłem pocieszać, by usłyszeć:

– Może, może tak. Może Bóg nie dopuści, ale, Antoś, niepodobna się z tym pogodzić, jak niepodobna żyć, choć trzeba.

Czyż mogłem istotnie go wówczas pocieszyć, okłamać, gdy sam nie wierzyłem w owo opamiętanie, powstrzymanie całej centralistycznej maszyny sprawowania władzy wzorowanej na Moskwie? Szukałem słów i nie znalazłem, ale spojrzałem na przelatujący sznur jaskółek i pnący się już po bruczku zielony rozchodnik. Widok ten rozładował powoli napięcie.

– Popatrz na to i na to – powiedziałem. A on po chwili:

– Tak, wiosna idzie.

– No, wiosna idzie i nadziei tracić nie wolno. Nie wolno! – zaakcentowałem.

W chacie czekał na nas Staś, zajadając drożdżowe pempuchy i gawędząc z dziećmi. Chłopisko wymizerowane, jak i inni, przywitał mnie jak zwykle z ciepłym uśmiechem i serdecznie. Też nie miał się lepiej jak Franuś, jeśli nie gorzej.

– Wszystko od nowa, a pomocy znikąd – narzekał. – Chyba tyloj ta sąsiedzka. Robocie trudno poradzić, nieraz i sił brak, a ciągnąć trzeba, bo jek tak ostać?

Gawęda na tle trosk zwykłego życia szarych zagrożonych ludzi. A jeśli to samopoczucie rozciągnąć na cały, wąski choćby, teren, to czy zbyt niedorzeczne było wówczas pytanie, jakim prawem garstka ludzi, w dodatku pozostających pod obcą batutą, narzuca nachalnie swój punkt widzenia, swoje prawa, nie licząc się w ogóle z tradycją społeczeństwa i narodu.